

Wstęp

Zarządzanie dzieciństwem

W zbudowanej ponad sto lat temu szkole podstawowej w zamożnym zakątku Londynu odbywa się właśnie wywiadówka. Przyszliśmy z żoną dowiedzieć się o postępy naszego siedmioletniego syna. Kilkoro rodziców siedzi pod klasą na plastikowych krzesłach ze wzrokiem wbitym w ziemię albo zerkając co chwila na zegarki. Niektórzy spacerują po korytarzu i nerwowo przekładają telefony komórkowe z jednej ręki do drugiej.

Zeszyty ćwiczeń klasy drugiej piętrzą się na stole jak małe zasy śnieżne. Przerzucamy je i uśmiechamy się na widok niekonwencjonalnej ortografii, rozczulamy się słodkimi rysunkami, podziwiamy skomplikowane obliczenia arytmetyczne. Mamy tu czarno na białym triumfy i porażki naszego syna i czujemy się, jakby to były nasze własne. W duchu wiwatuję na widok każdej złotej gwiazdki w zeszytach.

Wreszcie pani Pendle zaprasza nas do klasy. Wygląda na to, że nasz syn świetnie sobie radzi, więc wiążemy z rozmową wielkie nadzieje. Siadamy przy niskim stoliku, a pani Pendle ogłasza werdykt: nasz syn bardzo dobrze czyta i pisze. Matematyka w porządku. Z przyrody mógłby być lepszy. Jest grzeczny i przyjemnie mieć takiego ucznia.

To bardzo dobry raport o wynikach, ale jakoś nie dość dobry. „Nie wspomniała o jego niesamowitym słownictwie” – mruczy moja żona po wyjściu. „Ani nie wyjaśniła, dlaczego nie jest w grupie najlepszych z każdego przedmiotu” – dodaję. Wszystko to w żartobliwym tonie – śmiejemy się z ambitnych rodziców, o których czytamy w gazetach – ale w tej ironii jest pewne napięcie. Bo w zasadzie rzeczywiście tak uważamy.

Moja żona wraca do domu, żeby zwolnić babysitterkę, a ja ruszam do nauczycielki od plastyki. „Pana syn naprawdę się wyróżnia – mówi z uznaniem. – Zawsze ma jakieś inne spojrzenie”. No, to rozumiem, myślę sobie. Jedna z jego prac wisi na ścianie pracowni plastycznej jako wzór do naśladowania dla innych uczniów. Szkic przedstawia chuderlawego czarodzieja narysowanego w stylu Quentina Blake’a, tego od ilustracji do książek Roalda Dahla. Pod portretem nasz syn narysował głowę starucha z różnych stron. Nauczycielka zdejmuje rysunek ze ściany, żeby mi pokazać. „Zdumiewające u siedmiolatka, żeby tak sobie poradzić z perspektywą – mówi z podziwem. – To naprawdę utalentowany młody artysta”.

I to jest to magiczne słowo, dwanaście liter, które brzmią jak muzyka w uszach każdego rodzica. Utalentowany. Idę ze szkoły do domu i już planuję awans syna na szczyty świata sztuki. Czy pierwsza wystawa będzie w Londynie, czy w Nowym Jorku? Czy nie przydałby mu się agent? Czy rośnie nam nowy Picasso? nagle okazuje się, że te wszystkie wizyty w Tate Gallery, te niedzielne poranki, kiedy się ciąga dzieci od Turnerów do Tycjanów, opłaciły się. Mój syn jest artystą.

Żona jest uszczęśliwiona wiadomością, zwłaszcza że ojciec jednego z kolegów klasowych syna był świadkiem, jak nauczycielka wygłaszała ten panegiryk. Po późnej kolacji

zaczynam przerzucać magazyny dla rodziców, surfuję po internecie w poszukiwaniu odpowiedniego kursu, który rozwijałby talent naszego syna. Moją uwagę zwraca reklama: „otwórz geniusz swojego dziecka!”. Moja żona ma wątpliwości, czy nie przesadzam, ale dla mnie w tej chwili jej słowa to tylko jakiś szum w tle.

Nazajutrz w drodze do szkoły poruszam temat kursu plastycznego. ale mój syn nie chce o tym słyszeć. „nie chcę chodzić na lekcje, żeby jakiś nauczyciel mówił mi, co mam robić, ja chcę po prostu rysować – mówi zdecydowanie. – Dlaczego dorośli muszą się ciągle rządzić?”.

Pytanie daje mi do myślenia. Mój syn uwielbia rysować. Potrafi godzinami siedzieć nad kartką papieru i wymyślać obce formy życia albo szkicować dryblującego Wayne’a Rooneya. Rysuje dobrze i sprawia mu to przyjemność. Ale to jakby za mało. Coś we mnie chce nad tym szczęściem zapanować, udoskonalić i oszlifować talent syna, doprowadzić jego sztukę do doskonałości.

Oczywiście nie jestem pierwszym rodzicem, który chce wyprowadzić dziecko na sam szczyt. To się rozumie samo przez się. Dwa tysiące lat temu pewien nauczyciel, zwany Lucius Orbilius Pupillus, uznał ambitnych rodziców za ryzyko zawodowe rzymskich nauczycieli. Kiedy po pojawieniu się małego Mozarta zapanowała moda na cudowne dzieci, wielu Europejczyków intensywnie kształciło swoje potomstwo, widząc w nim zadatki na geniuszy. W dzisiejszych czasach presja, żeby wyciągnąć z dzieci, ile tylko się da, wydaje się nieopohamowana. Chcemy, żeby miały wszystko, co najlepsze i żeby były najlepsze we wszystkim. Chcemy, żeby były artystami, uczonymi i sportowcami, żeby szły gładko przez życie bez trudów, bólu i porażek.

Skrajne formy takiego wychowywania dzieci nazywają się różnie w różnych częściach świata. Wychowywanie helikopterowe – bo mama i tata stale krążą nad głową. Nadrodzicielstwo. Skandynawowie żartują na temat „curlingowych rodziców”, którzy gorączkowo szcztokują lód, zanim dziecko zrobi pierwszy krok. W Japonii „matki-nauczycielki” poświęcają każdą sekundę na przepchanie dziecka przez tamtejszy system edukacyjny.

Ale nie tylko rodzice czyszczą lód, pchają dzieci naprzód i krążą im nad głowami niczym helikoptery. Wszyscy, od państwa począwszy, na przemyśle reklamowym kończąc, mają swoje pomysły na dzieciństwo. W Wielkiej Brytanii parlamentarna grupa robocza jakiś czas temu alarmowała, że zbyt wiele dzieci marzy o karierze księżniczki z bajki czy gwiazdy futbolu. Wniosek: doradztwo zawodowe dla pięciolatek.

Gdziekolwiek spojrzeć, zewsząd płynie jedno przesłanie: dzieciństwo jest zbyt cenne, by zostawić je dzieciom, a dzieci są zbyt cenne, żeby zostawić je samym sobie. To nieustanne wtrącanie się tworzy nowy rodzaj dzieciństwa. Dawniej Dziecko Pracujące harowało w polu, a po rewolucji Przemysłowej – w fabrykach. XX wiek przyniósł Dziecko Wolnego Chowu. A teraz mamy epokę Dziecka Zarządzanego.

Zanim przejdziemy dalej, ustalmy jedną rzecz: nie wszystkie dzieciństwa mają równy start. W obozach dla uchodźców w Sudanie czy w dzielnicach nędzy Ameryki Łacińskiej nie znajdziemy zbyt wielu dzieci zarządzanych niczym projekt. Nawet w krajach rozwiniętych miliony dzieci, zwłaszcza z uboższych rodzin, cierpią raczej na niedostatek opieki niż na

nadopiekuńczość rodziców. Spójrzmy prawdzie w oczy: większość rodziców-helikopterów wywodzi się z klasy średniej. Ale to nie oznacza, że ten zwrot kulturowy dotyczy tylko zamożnych. Kiedy dochodzi do przemian społecznych, klasa średnia często nadaje ton, a z czasem jej kompleksy i dziwactwa przenikają w górę i w dół drabiny społecznej. A w każdym razie sprawiają, że wszyscy inni czują się winni, bo nie udaje im się dotrzymać kroku.

Rozejrzyjmy się wokół, a okaże się, że dzieci już teraz są przedmiotem niepokoju i interwencji dorosłych bardziej niż kiedykolwiek dotąd w historii. Ciężarna znajoma z Nowego Jorku pisze w e-mailu, że spędza godzinę co wieczór pompując sobie do brzucha serenady maciczne

w nadziei, że rozwiną umysł jej nienarodzonego dziecka. Na drugim krańcu świata, w Szanghaju, ambitni rodzice zapisują dzieci na program „Wczesny Magister Zarządzania”. W niedzielne poranki uczniowie zgłębiają walory tworzenia zespołów, uczą się asertywności i rozwiązywania problemów. niektórzy ledwie co wyszli z pieluch.

Rozkład dnia wielu dzieci przyprawiłby o ból głowy niejednego dyrektora generalnego. Maleństwa kursują między baby jogą a baby aerobikiem i lekcjami niemowlęcego języka migowego. W Corte Madera w Kalifornii Gail Penner kupiła swojemu synowi Johnowi na urodziny palmtopa, żeby nie pogubił się w zajęciach pozaszkolnych – ma lekcje fortepianu, baseball, hiszpański, koszykówkę, piłkę nożną, tenis, pływanie i karate. „Jest tak zajęty, że musi się nauczyć, jak gospodarować czasem” – mówi. John ma 10 lat. (..)

*

Według wszelkich znaków na niebie i ziemi, wychowujemy najbardziej okablowane, monitorowane i rozpieszczone pokolenie w historii. Ale czy to naprawdę coś złego? Po tysiącach lat prób i błędów może w końcu znaleźliśmy magiczny przepis na wychowywanie dzieci? Może to mikrozarządzanie w końcu się opłaci? Może wychowujemy najzdolniejsze, najzdrowsze i najszczęśliwsze dzieci, jakie świat kiedykolwiek widział?

Pogłoski o śmierci dzieciństwa z całą pewnością są mocno przesadzone. Dorastanie w rozwiniętym świecie początku XXI wieku ma wiele zalet. Ludziom mniej niż kiedykolwiek wcześniej w historii grozi niedożywienie, zaniedbanie, przemoc czy gwałtowna śmierć. Otaczają nas materialne wygody, o których nie śniło się nam jeszcze pokolenie temu. Całe rzesze naukowców, polityków i niezliczone firmy próbują znaleźć nowe sposoby, żeby nas nakarmić, ubrać, wykształcić i zabawić. Chronią nas zapisy prawa międzynarodowego. Dziecko jest pępkiem rodzicielskiego wszechświata.

A jednak dzisiejsze dzieciństwo bynajmniej nie przypomina „beztroskiego gniazda” w wyobrażeniu Lewisa Carrolla. A rodzicielstwo to też nie bułka z masłem. W wielu dziedzinach nowoczesne podejście do dzieci daje odwrotne skutki.

Zacznijmy od zdrowia. Trzymane w zamknięciu jak kurczaki z chowu bateryjnego, karmione wysokokalorycznie i prawie pozbawione ruchu dzieci stają się niebezpiecznie otyłe. W Stanach Zjednoczonych produkuje się większe foteliki samochodowe dla wygody pulchnych niemowląt. Niemal jedna piąta małych amerykańców waży powyżej normy, a dzieci z reszty świata też pod tym względem nie pozostają w tyle. Międzynarodowe stowarzyszenie Badań nad Otyłością ocenia, że 38% młodzieży poniżej lat 18 w Europie i 50 % w Ameryce Północnej i Południowej ma nadwagę. Już teraz ekstra kilogramy powodują u dzieci choroby

serca, cukrzycę typu 2, miażdżycę i inne przypadłości dawniej kojarzone z wiekiem dorosłym.

Dzieci wysportowane też cierpią. szkodzi im nadmiar treningów w zbyt młodym wieku. Urazy, takie jak uszkodzenie więzadeł krzyżowych stawu kolanowego, dawniej spotykane tylko u studentów uprawiających sporty i u zawodowych sportowców, są teraz częstym zjawiskiem w szkołach średnich i coraz częściej wśród 9–10-latków.

A kiedy ciało wysiada, umysł idzie w ślad za nim. Depresja, samookaleczenia i zaburzenia odżywiania coraz częściej pojawiają się wśród dzieci na całym świecie, nie mówiąc o chorobach wywołanych stresem, takich jak bóle brzucha, głowy i chroniczne zmęczenie. Nawet jeśli diagnozy są przesadzone, liczby porażają: ONZ ostrzega, że już co piąte dziecko cierpi na zaburzenia psychiczne, a Światowa Organizacja Zdrowia szacuje, że do roku 2020 choroby umysłowe znajdą się wśród pięciu głównych przyczyn śmierci lub inwalidztwa u ludzi młodych. W Wielkiej Brytanii co 28 minut jakiś nastolatek próbuje popełnić samobójstwo, natomiast jego japońscy rówieśnicy zamykają się w swoich pokojach i odmawiają wyjścia stamtąd całymi tygodniami, miesiącami, a nawet latami. Eksperci szacują, że ponad 400 tysięcy tamtejszych nastolatków to *hikikomori*, czyli neo-pustelnicy. Gdzie indziej z kolei u studentów wyższych uczelni dochodzi do załamań nerwowych na niespotykaną dotychczas skalę. Dziesięć lat temu najczęstszym powodem spotkania z kampusowym psychologiem były problemy sercowe z chłopakiem lub z dziewczyną. Teraz są to stany lękowe. Steven Hyman, profesor neurobiologii, były dyrektor amerykańskiego Narodowego Instytutu Zdrowia

Psychicznego, obecny administrator Uniwersytetu Harvarda, twierdzi, że zdrowie psychiczne studentów amerykańskich jest dzisiaj w tak złym stanie, że „zakłóca podstawową misję uniwersytetu”.

Ten problem spowodowany jest głównie stylem życia, który każdemu każe marzyć o sławie, bogactwie i urodzie celebrytów z pierwszej ligi. Jednak presję tego rodzaju najbardziej odczuwają dzieci w rodzinach z wyższych szczebli drabiny społecznej, gdzie duch współzawodnictwa jest silniejszy. Z badań prowadzonych w różnych częściach świata wynika, że depresja i stany lękowe

u dzieci – a także nadużywanie środków odurzających, samookaleczenia i samobójstwa, które często im towarzyszą – najczęściej zdarzają się nie w slumsach, lecz w eleganckich apartamentach śródmiejskich i otoczonych zielenią podmiejskich rezydencjach, gdzie przebojowe klasy średnie zarządzają projektem, którym są ich dzieci. W *The Price of Privilege* Madeline Levine, kliniczna psycholożka w ekskluzywnej części San Francisco, pisze, że dzieci z domów o rocznym dochodzie między 120 a 160 tysięcy dolarów trzy razy częściej ulegają depresji i cierpią na stany lękowe niż ich ubożsi rówieśnicy. Z niedawnego sondażu wynika, że u blisko 40% piętnastoletnich dziewcząt z zamożnych brytyjskich rodzin stwierdza się psychiczne problemy, które grożą chorobą umysłową.

W Bretanii, w miarę jak rosną wymagania w twardym współzawodnictwie na maturach, rośnie liczba uczniów cierpiących na stany lękowe i liczba samobójstw. Ma to również związek z coraz powszechniejszym dążeniem do podejmowania wyższych studiów. Japońscy *hikikomori* prawie zawsze wywodzą się z klas średnich.

Żeby nadążyć za innymi, a niekiedy żeby po prostu dawać sobie radę, więcej dzieci niż kiedykolwiek przedtem – ponad sześć milionów w samych Stanach Zjednoczonych –

zażywa leki, które mają wpływać na ich zachowanie i nastrój. Nawet niemowlęta popijają antydepresanty

z wieczornym mleczkiem. Na całym świecie liczba recept na ritalin, attentę, focalin i inne środki, których zadaniem jest łagodzenie objawów hiperaktywności u dzieci, wzrosła trzykrotnie od roku 1993. Eksperci obawiają się, że obecnie wiele rodzin stosuje leki psychotropowe jako narzędzie kontroli rodzicielskiej. Każdemu rodzicowi, który zgłasza się po receptę na ritalin, lekarz w zamożnej dzielnicy pod Nowym Jorkiem zadaje pytanie: „Czy chcą państwo ułatwić życie dziecku czy sobie?”. W tym *boomie* na łykanie tabletek jest gorzka ironia: pokolenie dorosłych, którzy sięgali po narkotyki, żeby się odprężyć i wyzwolić umysł, używa ich teraz po to, żeby utrzymać własne dzieci w ryzach.

Ten pęd do udoskonalania dzieci kojarzy się z Frankensteinem. Ponieważ badania wykazują, że ludzie wysocy na ogół odnoszą większe sukcesy, niektórzy rodzice płacą za hormony wzrostu wstrzykiwane zdrowym, normalnym dzieciom – 50 tysięcy dolarów za każdy dodatkowy cal. Inni z kolei gotowi są zafundować dziecku operację kosmetyczną, żeby uzyskać perfekcyjny wygląd. W dzisiejszych czasach chirurdzy plastyczni muszą mieć się na baczności przed nastoletnimi pacjentami zmuszanymi przez rodziców do operacji nosa czy odstających uszu. Lekarz z São Paulo opowiadał, jak szesnastoletnia dziewczyna wybuchnęła płaczem na stole operacyjnym tuż przed narkozą: „Szlochala i pytała, dlaczego rodzice nie mogą zaakceptować jej twarzy takiej, jaka jest, więc odesłaliśmy niedoszlą pacjentkę prosto do domu. Matka była wściekła”.

Dramat polega na tym, że całe to mikrozarządzanie, chuchanie i dmuchanie, faszeringowanie lekami, bynajmniej nie skutkuje powstaniem nowej rasy dzieci-alfa. Ze wszystkich stron świata napływają informacje od nauczycieli, że uczniom trudno usiedzieć spokojnie i że mają problemy z koncentracją. Pracodawcy narzekają, że nowi pracownicy są mniej elastyczni, mniej skłonni do pracy w zespole i mniej żądni wiedzy.

Mikrozarządzane dzieci w końcu nie będą próbowały stanąć na własnych nogach. Doradcy uczelniani opowiadają o studentach, którzy w trakcie rozmowy kwalifikacyjnej przekazują im telefony komórkowe ze słowami: „Może proszę to ustalić z moją mamą”. Coraz częstsze są przypadki, że dwudziestoparoletnie dzieci z klasy średniej nie wyprowadzają się z domu rodzinnego. Dzieje się tak niekoniecznie z powodu długów zaciągniętych na studia czy coraz wyższych cen nieruchomości – wiele młodych osób po prostu nie jest w stanie opuścić miejsca, gdzie wokół nich kręci się cały świat. Pewien znajomy ojciec z Oksfordu nie może pojąć, dlaczego jego 24-letnia córka ze świetnymi referencjami wprowadziła się z powrotem do swojego dawnego pokoju. „Domaga się nawet, żebym ją woził do kina – narzeka. – Zupełnie jakby znowu miała 12 lat”. Japończycy mają na takich dwudziestoparoletnich domatorów określenie „single-pasożyty”.

Wyniesione na piedestał dzieci spodziewają się, że świat legnie u ich stóp i wpadają w złość, kiedy tak się nie dzieje. Czy to przypadek, że „Superniania”, „Obóz dla łobuzów” i inne programy telewizyjne, które pokazują, jak ujarzmić niezdolne dzieciaki, wypełniają fale eteru jak

świat długi i szeroki? W miarę upływu lat napady złości mogą zamienić się w narcyzm. W badaniach typów osobowości przeprowadzonych w 2006 roku stwierdzono „wysoki narcyzm” u dwóch trzecich z 16 tysięcy ankietowanych studentów amerykańskich – 30-procentowy

wzrost od roku 1982. „Wall Street Journal” donosił ostatnio, że zamiast kupować kwiaty czy czekoladki na Dzień Matki, wielu amerykańskich dwudziestoparolatków wybiera jakąś formę samodoskonalenia się, w rodzaju diety odchudzającej, kosmetyki dentystycznej, nowego uczesania, sprzątaję mieszkanie lub zapisują się na serwis randkowy. Dlaczego? Bo najlepszym sposobem na uszczęśliwienie mamy XXI wieku jest ulepszanie dzieci.

Dzieci wychowane na narzuconej z zewnątrz definicji sukcesu, gdzie nie ma miejsca na porażkę, często w rezultacie mają zawężone horyzonty. W czasach, kiedy globalna gospodarka pilnie potrzebuje ryzykantów, uczymy nasze dzieci nie wychylać się, iść drogą wytyczoną przez

innych. Oczywiście, młodzi ludzie nadal się buntują, ale gdzie się podziały protesty na kampusach, które zachwiały politycznym establishmentem i zmieniły kształt kultury popularnej lat 60. i 70. XX wieku? Studenci zajmują się raczej uatrakcyjnianiem swoich CV, a nie wymachiwaniem transparentami. Profesorowie mają teraz do czynienia z nowym pokoleniem pszczoł robotnic, które do perfekcji opanowały granie na systemie, ale są zupełnie pozbawione iskry bożej. „Nie ma w nich prawdziwego ognia, ostrych kantów, prawdziwej pasji, żeby podjąć jakieś ryzyko lub zakwestionować status quo – mówi profesor prestiżowego uniwersytetu. –Wiele dzieciaków robi wrażenie, jakby czytało z gotowego scenariusza”.

William Blake znakomicie podsumował dzieciństwo:

*Zobaczyć świat w ziarenku piasku,
Niebiosa w jednym kwiecie z lasu,
W ściśniętej dłoni zamknąć bezmiar,
W godzinie – nieskończoność czasu*

[tłum. Zygmunt Kubiak]

Dziś dzieci zbyt śpieszą się na lekcje gry na skrzypcach albo na matematykę metodą Kumona, żeby w ściśniętej dłoni zamknąć bezmiar. a kwiecie z lasu może przestraszyć – bo co będzie, jeśli ma kolce albo jego pyłek wywoła alergię? Kiedy dorośli zawłaszczają dzieciństwo, pozbawiają swoje dzieci rzeczy, które nadają ludzkiemu życiu charakter i sens – małych przygód, tajemnych wypraw, drobnych wpadek i komplikacji, rozkosznej anarchii, momentów samotności czy nawet nudy. W młodych umysłach rodzi się przeświadczenie, że najbardziej się liczy nie znalezienie własnej drogi, lecz postawienie odpowiedniego trofeum na kominku, zaznaczenie właściwej kratki, a nie samodzielne myślenie. Skutek jest taki, że współczesne dzieciństwo wydaje się dziwnie mdłe, pełne akcji, sukcesów i konsumpcji, a przy tym jakieś puste i sztuczne. Brakuje wolności bycia sobą – i dzieciaki to wiedzą. „Czuję się jak projekt, nad którym moi rodzice cały czas pracują – żali się 14-letnia Susan Wong z Vancouver. –nawet mówią o mnie w trzeciej osobie, chociaż stoję tuż obok”.